

Drogi czytelniku (jeśli takowy się pojawi), gdy przerazi Cię długość tego "arcydziela", możesz spokojnie skończyć po pierwszej, czy drugiej części. Nie chciałem ciąć tego opowiadania na kawałki uważając, że możliwym jest hipotetyczne pojawienie się amatora na przeczytanie całości. Przyjemnej lektury, życzy bassooner...

Rzeźnia nr 5, czyli jak trafiłem do szpitala, czyli czyli o wyższości znieczulenia podpajęczynówkowego nad ogólnym.

Idę do szpitala!

Nadszedł w końcu dzień zaplanowanej operacji. Dzisiaj usuną mi żyłę, na której z jakiś powodów utworzył się żylak. Nieduży, prawie niewidoczny, ale kolega zdążył mnie już odpowiednio „pocieszyć”, że „jeden żylak rodzi dziesięć następnych!”, więc się zdecydowałem. Idę do szpitala jak na szafot, choć między tymi dwoma rzeczami różnica jest zasadnicza: pierwsza ratuje życie, druga nie za bardzo...

Do plecaka żonka zapakowała mi pidżamę, ręcznik, mydło, szczoteczkę i pastę do zębów (jakbym szedł do więzienia), wodę w plastikowej butelce, kubek (choć przed operacją pić mi nie wolno), sztućce (jeść przed i po też mi nie wolno, a jutro wychodzę), a po drodze kupiłem gazetę (jak się okazało sił mi stało). W szpitalu bywałem wielokrotnie, ale w charakterze pacjenta nigdy, a wierzcie mi, co innego iść w odwiedziny, a co innego ze świadomością, że będą cię ciąć; wejdiesz, posiedzisz i wyjdiesz, wyrzucając do kosza szpitalną atmosferą wraz z foliowymi ochraniaczami. Na dworze weźmiesz głęboki oddech i żegnaj szpitalu, pa pa...

- Dzień dobry! Słucham pana? - powiedziała pani na izbie przyjęć.
- Ja ze skierowaniem do szpitala. Zaplanowany zabieg.
- Aha... to proszę za mną, przebierze się pan, zrobimy EKG, zmierzmy ciśnienie...

Wchodzę w pidżamce na oddział, pielęgniarka prowadzi mnie na salę numer sto piętnaście. Wybieram łóżko pod oknem - chociaż z jednej strony nie będzie sąsiada... a bo to wiadomo na kogo się trafi? Brat jak leżał, co go kiedyś samochód potrafił, to trafił na sąsiada, który przez cały dzień i noc wył. Jak przyszedłem do niego z wizytą, to w oczach miał strach, jakby diabła zobaczył.

- Weź mnie stąd! Dłużej nie wyrobię! - powiedział mocno ściskając mi rękę. Nie musiałem, bo w nocy jego sąsiad zszedł.

Rozlokowuję się w szafce. Naprzeciw leży jakiś gościu, jak się później okazało w rozmowie, świadek Jehowy. Ma pod pięćdziesiątkę i widać, że jemu robili to samo, co będą dzisiaj robić mi. Noga, od dużego palca u nogi, aż do samej pachwiny, cała w bandażach i facet co rusz postępuje jak ma się ruszyć – i tak dobrze, że go całego nie zabandażowali. Ale u niego to już z góry, szykuje się powoli do wyjścia i pielęgniarka, nie powiem ładna, udziela wskazówek jak ma sobie opatrunek zakładać. Przy wejściu leży starszy, niski i gruby pan. Też chyba dzisiaj z rana przyjęty, bo jeszcze butów spod łóżka nie zdążył

schować, a w szpitalu mu się raczej nie przydadzą. Przyszedł na kolonoskopie, a słyszałem, że to nic przyjemnego. Wchodzi następny „nowo – przyjęty”, jakby w moim wieku i okazuje się, że na to samo. Żylak na prawej nodze... ja mam na lewej i już zaczynam się niepokoić, żeby przez przypadek nas nie pomylili. Tyle słyszało się o pomyłkowej amputacji zdrowej kończyny, bo babkę miast na plecach, to na brzuchu położyli i chirurg odpiłował jej zdrową. Choć rozsądek nakazuje nie wierzyć w podobne rzeczy, to jednak ziarenko niepokoju zostało zasiane.

- Mam nadzieję, że nas nie pomylą, bo mojego żylaka prawie nie widać – zagaduję. - Chirurg słyszałem, strasznie zabiegany jest, wparuje na salę operacyjną z innej sali operacyjnej, a w przelocie do następnej... na tamtej miał prawą odpiszczelową i lewą odpiszczelową do „ciachnięcia”, tutaj będzie miał, jak pójdziemy alfabetycznie, lewą odpiszczelową i prawą odpiszczelową, a na następnej... Bóg raczy wiedzieć co będzie miał?

- On nie „ciacha” tylko wyrywa tę żyłę – odezwał się Jehowy.

- Jak to „wyrywa?” - zaniepokoiłem się.

- No normalnie... robi takie dość duże nacięcie w pachwinie, przez te nacięcie wyciąga tę chorą żyłę na zewnątrz i przecina ją, następnie wprowadza do niej taką cieniutką, metalową linkę, którą wywleka przez drugie nacięcie, koło kostki, tam podwiązuje i zamaszystym ruchem ręki wyszarpuje całość...

- To ja idę do domu! – powiedział „nowo - przyjęty”.

Nie powiem, nogi się pode mną ugięły. Myślałem, że to będzie tylko taki delikatny zabieg, lekkie nacięcie w miejscu zgrubienia i po wszystkim, a ta opowieść była jak z „Milczenia owiec”.

- Ale nie jest tak źle! Ja wziąłem znieczulenie ogólne i obudziłem się już po wszystkim z zabandażowaną nogą!

- A to tak można? - zdziwił się pacjent po prawej, co to przed chwilą przerwał rozpakowywanie i na powrót zaczął się pakować.

- Można! A jak! Ja powiedziałem, że nie chcę tego wszystkiego oglądać, bo mam słabą psychikę i że jest to sprzeczne z moją wiarą.

- Z jaką wiarą? - spytałem.

- Z wiarą w jedynego Boga – Jehowe.

- O kurde... szkoda, że nie jestem Jehowy – zasmucił się sąsiad.

- A co to ma wspólnego z wiarą? - spytałem. - Przecież oni doskonale wiedzą, że tylko krwi wam przetaczać nie mogą.

- Wiem, wiem, bo nawet specjalne druki mi przynieśli, żebym oficjalnie podpisał, że w razie jakiś komplikacji, jak to przy „wyszarpywaniu” żył, nie życzę sobie żadnej transfuzji. Mam sobie spokojnie zejść i koniec, kropka. Ale napomknąłem też, że krwi nie chcę oglądać.

- To ja chyba znowu zacznę się pakować - powiedział sąsiad.

- Z tym wyszarpywaniem żył, to nie jest tak źle – odezwał się pacjent od kolonoskopii. - Ja miałem to kiedyś robione. Oni to nawet jako zabieg kosmetyczny kwalifikują. I tak dobrze, że chirurg ciągnie żyłę do góry – od kostki do pachwiny, a nie odwrotnie...

- A dlaczegoż by to? - spytałem.

- Bo jakby ciągnął odwrotnie, to mógłby ci przy okazji oko wyszarpnąć!

- Co też pan za głupoty gada? - zbulwersował się Jehowy.

- No jak to? Ruscy naukowcy odkryli ostatnio taki nerw co łączy dupę z okiem – wbili facetowi igłę w dupę i się popłakał, a następnie tę samą igłę wbili mu w oko... i się posrał! Czyli jakieś połączenie musi być.

- Panie! - nie wytrzymałem. - To tylko taki kawał teraz młodzi opowiadają, to fikcyjna historia jest...

- Ale za to kolonoskopia fikcyjna nie jest! - widać Jehowy obeznany był w te klocki. - A wie pan co będą panu robili?!!

- Nie... jakieś badanie jelita, czy coś... - odparł zaniepokojony.

- Aha! Badanie jelita? Wsadzą panu w dupę taką wielką, grubą rurę i jeszcze przez nią nadmuchają pana gazem! Jak żabę! Tak proszę pana! No chyba, że pan lubi?
- Widziałem, że starszy pan zbladł na twarzy. Zamyślił się na krótką chwilę, po czym wysunął buty spod łóżka i zaczął je zakładać na stopy. Weszła pielęgniarka.
- A pan to dokąd się wybiera?
- Aaa... muszę na chwilę na miasto skoczyć... czegoś zapomniałem... do sklepu muszę iść...
- Nic podobnego! Pan jest już przyjęty i nie wolno opuszczać szpitala! Za chwilę weźmiemy pana do gabinetu zabiegowego, damy narkozę i zrobimy badanie. Jeszcze dzisiaj po południu pana do domu wypuścimy.
- To badanie pod narkozą robicie? I dzisiaj wyjdę? Eee... to dam radę.
- No pewnie – powiedziała i wyszła. Widać tą narkozą przekonała starszego pana, bo zdjął buty, położył się na łóżku i zaczął wpatrywać w sufit.
- Wcześniej z opowieści znajomych słyszałem, że przy usuwaniu żylaków stosuje się wyłącznie znieczulenie w kręgosłup, ale jak pomyślałem sobie o tym całym „wyszarpywaniu żył”... wezmę ogólne i koniec - zdecydowałem. I wtedy weszła ona... pielęgniarka... i jeśli tamta, co zmieniała opatrunek Jehowemu była ładna, to ta była bardzo, ale to bardzo ładna: dojrzała piękna kobieta, o czarnych długich włosach zaczesanych gładko do tyłu, o niebieskich oczach, opalonym, budzącym pożądanie ciele, zgrabnych nogach z delikatną bransoletką na kostce, lekko opadającą na prześliczne stopy i tym białym, pielęgniarskim, lekko przykrótkim fartuszku, rozpiętym figlarnie w dekolcie. Jej spojrzenie elektryzowało, ubezwłasnowolniało ale i uspokajało. Mogliby zrobić ze mną wszystko: wrywać żyły, kolonoskopować, robić punkcję, gastroskopię, a na deser cewnikować... byleby ona była w pobliżu. Uspokoilem się. Jeśli będę pod jej opieką, nic mi nie grozi, zniosę wszystko.
- Panowie pójdą za mną, do zabiegowego – powiedziała władczo ale łagodnie spoglądając na mnie i sąsiada.
- Wstaliśmy z łóżek i poszliśmy potulni jak baranki. Jej sprężysty chód tylko uwydatniał elegancję w poruszaniu się i seksowne ciało. Podążaliśmy za nią, jak na jakiś niewidzialnych smyczach, omiatając spojrzeniami jej łydki, biodra, ramiona i odsłoniętą szyję. Prowadziła nas tylko do gabinetu zabiegowego, ale poszlibyśmy za nią i do piekła. Weszliśmy. Krzątało się tutaj więcej osób. Kazano nam usiąść.
- No panowie, trzeba wkluć się z wenflonikami! Pokazywać jakie to żyłki macie? - Faktycznie okazało się, że nie mamy żył, a żyłki, bo udało się to dopiero za trzecim razem, a każdy następny był bardziej bolesny od poprzedniego. Na nasze naprawdę delikatne i mimowolne grymasy podczas wkłuwania, kobieca brać w zabiegowym komentowała z niesmakiem, że „co by to było, gdyby przyszło nam dzieci rodzić?!”, a ów komentarz odbijał się echem po korytarzach, aż do samego końca pobytu. Swoją drogą, komentarz znany jest mi już od wielu lat i pewien jestem, że gdy ongiś wbijali mężczyzn na pal, to niejedna białogłowa rzekła to samo.
- Wróciliśmy do sali, gdzie podano nam, w tak z wielkim trudem wkłute wenflony, po dwie półlitrowe kroplówki. Moje nerki pracują bardzo szybko - szkole je od lat wypijając po litr piwa dziennie, więc nie musiałem za długo czekać. Zaczęły się moje wycieczki do ubikacji.
- Uuu... - zauważył to Jehowa – widzę mały stresik dopadł szanownego pana?
- Mały?- nie miałem zamiaru nic ukrywać. - Robię w portki ze strachu! A właściwie w piżamę...
- Pełne znieczulenie! Tylko pełne znieczulenie!
- Ja tam już zdecydowałem. Biorę to, co ten pan. Żadnego w kręgosłup! - sąsiad już powziął decyzję.
- Oczywiście – potwierdzał tamten. - Był tutaj miesiąc temu, bo miesiąc temu tę drugą nogę mi robili, młody chłopak. Po tym znieczuleniu zaczął go tak łeb boleć, że prawie po ścianach łaził! I żadne tabletki nie pomagały. Za wcześniej się podniósł, bo po tym znieczuleniu dwanaście godzin trzeba plackiem leżeć, i oto był efekt!
- Dwanaście godzin plackiem? - zadziwiłem się. - Nie dałbym rady. Ja śpię w ruchu. Żona czasami

nerwowo nie wyrabia, jak widzi te moje nieustanne zmiany pozycji i podrygiwania. Średnio, to tak w bezruchu z dziesięć minut wytrzymam. Ciągłe zmieniam bok, z lewego na prawy i na odwrót, i na wznak, i znowu na bok, i na lewy, i na prawy... jak nie zaśnie pierwsza, to jest biedna, a jak ja już zasnę, to nieustannie podryguję nogami, jakby mnie ktoś, co jakiś czas, do prądu podłączał.

- To parasomnie są – zdiagnozował Jehowy. - Takie zaburzenia snu...

Drzwi otwały się i do sali wszedł jakiś młodzian. Przedstawił się, że jest anestezjologiem, i że będzie miał przyjemność nas znieczulać.

- Mnie usypiać! - zadeklarował już na wstępie mój sąsiad, kując żelazo póki gorące.

- Zobaczmy... nie ma jeszcze wszystkich wyników, a mogą być przeciwwskazania... - podszedł do mnie.

- Ma pan jakieś pytania związane z operacją? - spytałem więc.

- A jakie znieczulenie jest lepsze?

- Nie ma lepszego, czy gorszego. Do tego rodzaju zabiegów preferujemy raczej „to w kręgosłup” i do tego będę panów gorąco namawiał.

- Zewnątrzoponowe?

- Niezupełnie... raczej podpajęczynówkowe, zwane inaczej rdzeniowym, przy zewnątrzoponowym wkłuwamy się w okolice rdzenia nerwowego, a przy „pańskim” wkłujemy się nieco głębiej. Musimy przebić błonę twardą, wstrzykując środek znieczulający do tak zwanego worka oponowego, bezpośrednio do płynu mózgowo-rdzeniowego.

- Aleś mnie pan przekonał tym przebijaniem błony twardej. Więc, jak już mówiłem, poproszę ogólne! - powiedział sąsiad.

- To jest znieczulenie pewne...

- Pewna to jest śmierć i to, że trzeba się wysrać! - wtrącił się starszy pan.

- Ooo! Z tym to nie będzie miał pan problemu! - Jehowy nie wytrzymał. - Lepiej niech pan zawczasu sobie drugi sedes do domu kupi, bo ten może panu rozsadzić! A w ogóle, to co pan przeszkadza panu doktorowi?

- Więc, jak już powiedziałem, jest to znieczulenie pewne; mało powikłań i pacjent szybko wraca do stanu sprzed.

- No, a ogólne? - zapytałem. - Ma jakieś powikłania? Bo chyba ku temu się skłaniam... - wyobraziłem sobie chirurga, który nacina moją żyłę w pachwinie, wsuwa w nią stalową linkę i wyszarpuje płynnym ruchem z półobrotu, jakby odpalał kosiarkę do trawy.

- Procentowo podobnie, ale dłużej dochodzi się do siebie. Tutaj jednak trzeba pacjenta głęboko uśpić, podać środki zwiadcujące, czyli bardzo dobrze wszystkim panom znany Pavulonik i do tego jeszcze intubować, czyli oddycha za pana maszyną...

- Niedawno jednemu facetowi wyrwali ząb pod narkozą, ale dobudzić, to już go nie dobudzili, wyjechał bez zęba, ale nogami do przodu.

- Panie! No co pan się wtrąca! - Jehowy z wyrzutem spojrzał na pacjenta od kolonoskopii. - Ooo! Idą po pana! - drzwi otworzyły się i na salę wjechało łóżko pchane przez dwie, pielęgniarki. - Tego pana na żywca! I dużo gazu mu wpuścić przez tę rurę! Dużo gazu! - dodał jeszcze.

- Pan przesiądzie się na to łóżko. Jedziemy! Najpierw zrobimy panu lewatywę, a chwilę później badanie - powiedziała pielęgniarka.

- Lewatywę?! - starszy pan, aż poderwał się na tę wiadomość. - Ale ja od czterech dni nic nie jadłem!

- Nie szkodzi. Zobacz pan, jakie złogi w jelitach potrafią się odłożyć. Poza tym lewatywę robimy standardowo przed tym badaniem.

- Ale ja od czterech dni nic nie jadłem... - powtórzył zrezygnowany.

Facet czuł się niepewnie, to było widać. Najchętniej spierdzieliłby gdzie pieprz rośnie. Biedak nie miał wcześniej pojęcia, co go czeka. Lekarz na rejonie napomknął pewnie coś, o jakimś badaniu i gościu nieświadom, zgodził się. Teraz nie było już wyjścia. Dwie starsze, doświadczone pielęgniarki wzięły go

„w kleszcze” - jedna zaszła od prawej, a druga ubezpieczała drzwi, żeby im nie uciekł - położyły na łóżku i opuściły salę. Na odchodne Jehowy nie omieszkął dodać mu otuchy.

- Lewatywa i dużo gazu siostró! Dużo gazu!

Powróciliśmy do rzeczowej dyskusji z anestezyjologiem, na temat wyższości znieczulenia ogólnego nad podpajęczynówkowym.

- No właśnie, panie doktorze, a jak to jest z tym wybudzaniem, czy raczej problemami z wybudzeniem? Podobno też ogólne na serce źle działa? - spytałem.

- To wszystko są mity. Zdarzało się, że pacjentów po wypadkach, „usypialiśmy” co kilka dni i nie było żadnych problemów z sercem, ani innych powikłań. Przyjmuje się, że bezpośrednio w wyniku znieczulenia ogólnego zejście występuje raz, na trzysta tysięcy.

- A w tym od pasa w dół?

- Tu ryzyko powikłań jest trochę wyższe, ale tylko trochę i też powikłania innego rodzaju...

- Ból głowy?

- Na przykład... czasami, przy wkluciu pacjent może odczuwać, takie przeszywające prądy, biegnące wzdłuż nogi, wtedy wiemy, że trafiliśmy na jakiś nerw, wycofujemy się i obieramy inny kierunek. Gdyby tych prób było kilka, a miejsce wklucia nie zasklepiłoby się, wtedy płyn rdzeniowy będzie tamtędy wypływał i mówimy wówczas o popunkcyjnych bólach głowy... ale zawsze udaje się to za pierwszym razem.

- A gdyby jednak nie udało się?

- No wtedy trzeba zrobić tak zwaną łatę z krwi...

- ???

- Pobieramy panu krew i wstrzykujemy w to samo miejsce...

- Jak już mówiłem, panie doktorze, ja ogólne! Zdecydowanie ogólne! - sąsiad zbladł na dźwięk „łaty z krwi” wstrzykiwanej w kręgosłup.

- Dobrze, czyli pan ogólne – wskazał na sąsiada – a pan jeszcze nie wie. Poczekamy na wyniki i zobaczymy, bo może być tak, że pan będzie chciał ogólne, a będziemy musieli panu zrobić podpajęczynówkowe... to do zobaczenia na sali operacyjnej. Głowy do góry panowie, nie będzie tak źle! - i wyszedł. Poleżeliśmy chwilę w ciszy, po czym odezwałem się.

- To jakie bierzesz? Na pewno ogólne?

- Ja tak! Na mur beton!

- No, a nie boisz się? Tego całego wkładania rury do przelyku? I tego, że sam nie oddychasz, tylko maszyna to robi za ciebie? A jak coś się popsuje? I jeszcze Pavulonik ci podadzą! A widziałeś co jest obok szpitala?

- No co?

- Dwa zakłady pogrzebowe... a jak mają z nimi układ? My się tutaj zastanawiamy jakie znieczulenie wziąć, gościu niby przekonuje do tego w kręgosłup, ale przekonuje tak, żeby nas zniechęcić... wiesz, opowiadał o tej łacie z krwi, o tych przeszywających prądach, o popunkcyjnych bólach głowy i już nam się odechciało. Wyszedł z sali i sobie myśli: „Aha. Tu ich mam, wymiękli, przestraszyłem ich. Wezmą ogólne, to sobie jednego uspię, troszkę bardziej. Trzeba zadzwonić do Stacha, żeby jedną trumienkę już odłożył.”

Więc mnie nie dostanie! Ja biorę, kurwa, pajęczynkowe! I chuj! Niech mnie dźgają w ten kręgosłup, aż mi prądy błędzące będą po obu nogach latały, a łeb to będzie mnie i z tydzień napierdalał, i nawet mogą mi tą łatę z krwi robić! Na śpiku mnie nie wezmą! Pajęczynkowe górą!

Weszła ona. Te ruchy! Ciało! Ba, pełnia kobiecego ciała! Ech... żebym miał pokój jednoosobowy, a ona nocny dyżur... Spojrzała na mnie, a właściwie prosto w moje oczy swoimi niebieskimi. Ach! Co za

głębia! Idzie do mnie. Jest coraz bliżej. Podchodzi do łóżka, podaje coś i mówi... dziwnie cicho.

- Pan się wygoli – i podaje mi dwie golarki; elektryczną i jednorazówkę.

Rano się nie ogoliłem, to fakt. Żeby nie zapeszyć. Nigdy z rana się nie golę przed ważnymi rzeczami, a tym bardziej przed operacją. Łapię się więc za brodę i przesuwam po jednodniowym zarostzie, oceniając jakież to on kujący jest. A może po operacji załatwi mi „jedynekę”, bo wpadłem jej w oko? A ma nocny dyżur i przyjdzie do mnie? „Lubi ogolonych” - myślę sobie... ej ej... powiedziała „wygoli”! Uuu! Ostro! Eee tam... mogę się i dla niej „wygolić”, czemu nie? Tylko co ja powiem później żonie w domu? Coś się wymyśli... może, że dali mi narkozę, a jak się obudziłem, to już bez włosów łonowych! O! Chirurg mnie wygolił na śpiku! Uśmiechnąłem się do niej zalotnie dając do zrozumienia, że „wiem o co chodzi”, a moje spojrzenie „szepotało” jej na uszko „kochanie, dla ciebie mogę się i cały wygolić... nawet tam, serce ty moje”. Spojrzała na mnie tym władczym, acz łagodnym spojrzeniem i powiedziała.

- No co pan do mnie takie głupie miny robi? Nogę sobie pan ogoli, aż do pachwiny. Do operacji musi być noga o-go-lo-na! Rozumnie pan? - musiałem wyglądać jak orangutan, bo wytrzeszczając oczy, opuściłem dolną szczękę mówiąc – ychy...

W tym momencie, odbiegając troszkę od akcji, przenieśmy się, drogi czytelniku, w przyszłość. Nie za daleko, bo zaledwie ot tyle, co to wystarcza, żeby zgolony włos zaczął odrastać z cebulki włosowej. Jak już wspomniałem ogoliłem dokładnie całą, jedną nogę. Najpierw maszynką elektryczną, później zaś, zwykłą jednorazówką. Była gładziutka, jak nigdy w życiu, ale gdzieś po tygodniu, zrobiła się dziwnie „wypustkowata”. Zacząłem już nabierać pewnych podejrzeń w stosunku do szpitala, aż w końcu odkryłem, że owe „wypustki”, to po prostu włosy, które nie przebiły się jeszcze na zewnątrz. Moje rosły z początku w kierunku poprawnym, by tuż przed wydostaniem się na zewnątrz zawrócić i pozwijać się w fantazyjne loczki, które musiałem później wydłubywać przy pomocy igły. Mało tego! Jeden czy dwa wędrowały sobie dziarsko w poprzek, rosnąc wzdłuż nogi pod skórą!

Drogie czytelniczki, droga żono, drogie wszystkie kobiety! (mowa oczywiście o tych, które depilują sobie owłosienie). Wiem jakie przeżywacie katusze, bo teraz już wiem, że zgolone, czy powyrywane włosy, nie koniecznie rosną „do góry”, a raczej wszędzie indziej, ale „do góry” w ostateczności!

Operacja.

Wchodzą dwie pielęgniarki pchając przed sobą łóżko na kółkach i dają biały kaftanik do ubrania. - Pana zabieramy jako pierwszego. - No! To się zaczęło! Kaftanik wygląda jakby prali i gotowali go z tysiąc razy. Ledwo mi tyłek zakrywa, ale za to dekolci jest aż do pępka. Ściągam swoją pidżamkę, którą w sumie dopiero co ubrałem i zakładam go. Wyglądam jakbym wyskoczył z „Chłopów” Reymonta. Kładę się na łóżku i wywożą mnie. Jedziemy. Dziwnie się czuję - zdrowy facet, w sile wieku, nie żaden obłożnie chory – mógłbym przecież sam dojść? Ale tak ma być. Mam jechać, taki biedny, ubezwłasnowolniony i żeby jeszcze wszyscy się na mnie gapili: „A co to mu się stało?”, „Taki młody, wcale na chorego nie wygląda i go wywożą?”. Już sobie postanowiłem, że jak spotkam na korytarzu kogoś znajomego, to ze łzami w oczach chwycę go za rękę i powiem: „Przyjacielu ja umieram! Zawiadam żonę i dzieci!”. Gorzej – myślę sobie – gdyby naprawdę coś poszło nie tak i faktycznie bym zszedł... Pchają mnie do windy. Zjeżdżamy na sam dół, później korytarzem prosto, do następnej windy i w górę. Zagaduję do pielęgniarek.

- A co by było, jakby się winda zacięła?

- Niech pan lepiej nie kracze, widzi pan przecież, że to wiekowy sprzęt jest.

No fakt. Mają rację. Co innego, gdybym się z tą „jedną” zatrzasnął. Ja w kusym kaftaniku a'la Maciej Boryna, ona w fartuszkach. Coś bym zagadał, że operacja może się nie udać, że ma piękne niebieskie oczy, ładną opaleniznę, coś o posłudze chorym... - No tośmy dojechali! - Opuszczamy windę. Naciskają

dzwonek, mówią kto, drzwi odblokowują się.

Wjeżdżamy na blok operacyjny. Jest nieprzyjemnie i zimno, a może tylko mi jest zimno z tych nerwów? Mogliby tutaj choć jakiś uspakajający obrazek zawiesić, zamiast tego widzę po prawej stronie, wielki napis „Pokój septyczny”. Wszędzie pusto. Dwie pielęgniarki po prostu zostawiają mnie w korytarzu i wychodzą. Leżę i czekam. Z oddali słyszę wesołe damskie głosy, jakby walkirie z zaświatów. Próbuje wyłowić choć jeden męski - z tego co pamiętam to chirurg, który ma mnie operować jest facetem, no i anestezjolog – przemiły młodzian. Ale nie. Tylko wesołe, kobiece szczebiotanie. Słychać dźwięk naczyń i sztućców. Jest właśnie pora obiadowa, więc mają prawo najeść się przed pracą. Mnie nic by przez usta nie przeszło. Dziwne myśli krążą mi po głowie - wyobrażam sobie gazową kuchenkę, z wielkimi aluminiowymi kotłami, w których gotują się nerki, serca, wątróbki i śledziony, a już niedługo dojdą powyrywane żyły a'la makaron. Rarytas! Wszędzie czuć smród gotowanych podrobów, a Wielka Wąsata Pielęgniara w szarym i poplamionym kitlu, spod którego wystają białe, nabite giry o kruczoczarnych włosach, miesza to wszystko olbrzymią, niby łopata, warząchwą. Jest już nakryte do stołu, przy którym siedzi cała ekipa z operacyjnego, łącznie z chirurgiem. Biesiadnicy trzymając w rękach tanie, aluminiowe sztućce, walą nimi o blat, co rusz pomlaskując i pokrzykując.

- Po – dro - by! Po – dro – by!

Nagle z mętnej, berbelowatej wody, Wielka Wąsata Pielęgniara, wyławia szarą, dobrze wygotowaną nerę. Nera paruje, jak łeb łysego po maratonie zimą, a ona dumnie kroczy z nią, na warząchwie, przez całą kuchnię, kładzie ją na starej, aluminiowej, szpitalnej tacy mówiąc.

- Nera Józwa, co to ją ciachnęliśmy wczoraj przy okazji wyrostka... żryjcie głodomory! - Nera znika równie szybko jak się pojawiła, a Pielęgniara w swoich szpitalnych plastikowych laczkach drepce znowu do wielkiego gara. Teraz wyławia śledzionę. Śledziona jest żylasta i gruzłowata z naroślami wielkości ping – ponga, a biesiadnicy na jej widok zaczynają głośno skandować.

- My chcieć żreć! My chcieć żreć!

- Gotowana śledziona z rakowymi naroślami raz. Komu podać?

- Nam! - odpowiadają zgodnie.

- Czy to z porannego szlachtunku? Od tego dziadka, co to nam zszedł? - pyta chirurg.

- W rzeczy samej mistrzu, ale rarytasy dopiero na podwieczorek... duszone żyły a'la makaron na słodko. - Wszyscy jak w amoku zaczynają dziwną wyliczankę tupiąc i uderzając rytmicznie sztućcami gdzie popadnie, a Wielka Wąsata Pielęgniara, niczym tamburmajor, dyryguje warząchwą, kręcąc biodrami.

Mniam, mniam, mniam! Żyły, żyły, żyły! Mniam, żyły, mniam! Żyły, mniam, mniam!

Dawaj, dawaj żyłę! Żyłę daj, daj! Ja chcieć żreć! Żreć ja chcieć!

Mniam, mniam, mniam! Żyły, żyły, żyły! Mniam, żyły, mniam! Żyły, mniam, mniam!

Nera! Wątroba! Serce i guz! Wszystko nic nie warte! Bo żyły będą już!

Mniam, mniam, mniam! Żyły, żyły, żyły! Mniam, żyły, mniam! Żyły, mniam, mniam!

Wyrwij, wyrwij żyłę! Żyłę wyrwij mu! My chcieć żreć! Żreć my chcieć!

- A dobrze mi uścić tych dwóch z żylakami! - przekrzykuje wyliczankę chirurg, żując twardy jak żelowa kawał śledziony. - Żadnego podpajęczynówkowego! Powyrywamy im z nóżki troszkę więcej tego „towaru”, żeby dla wszystkich starczyło.

- Eee tam uścić? Przy ogólnym żyły się pochowają – drwi Wielka Wąsata Pielęgniara – na żywca im powyrywać! Dobrze ich powiążemy to nie drygną, a i na znieczuleniu zaoszczędzimy.

- Ale będą darli się wniebogłosy, że jeszcze cały szpital gotowi postawić na nogi – wtrąca anestezjolog – i sobie nie podjemy...

- Zakneblujemy to i drzeć się nie będą. Ciamajdy jedne... co by to było, gdyby przyszło im dzieci rodzić?!

- Ale zapamiętają cośmy z nimi tutaj wyczyniali...

- Oj tak! - potwierdza chirurg robiąc wielkie oczy – Zapamiętać, to zapamiętają... i to na długo!
- Poradzimy sobie i z tym... przysolę im z warząchwi w potylicę i padną jak muchy! - po czym wylawia z gara wątrobę, podrzuca aż po sam sufit, wykonuje zamaszysty, oburęczny zamach i po chwili potężna drewniana łycha, rozdzierając powietrze jak kometa, uderza z impetem w spadającą wątrobę, ta niczym pocisk przelatuje na głowami osób siedzących przy stole i z głośnym młasnieniem przykleja się do płytek, po czym spływa po ścianie. - O tak właśnie! - dodaje.
- Hi, hi – parska śmiechem chirurg – po takim „przysoleniu” to im łeb z płucami z klaty wyskoczy, a trzy zejścia w jeden dzień... – cmoka ustami. – Nie da rady, muszą przeżyć – zamyśla się na chwilę patrząc w sufit. - Wiem. Damy im podwójnego „głupiego jasia” na dzień doberek, a później „tak krawiec kraje jak mu materii staje”... i powinno wystarczyć dla wszystkich! Pasuje?
- Tak!

Budzę się. O Jezu! Przysnąłem! Przed operacją! To pewno ze stresu. Człowiekowi w stresie różne rzeczy się śnią. Kolega opowiadał mi o jednym facecie, który uciekając przed milicją, wszedł do pieca w kotłowni. Tylko na chwilę, ale jak już wyszedł, to bez ubrania i bez skóry... Nie! Dość tych tych głupot! Głosy stają się jakby donośniejsze, pewnie gdzieś czeluściach bloku operacyjnego otwarły się drzwi. Słyszę czyjeś kroki, zbliżają się. Pielęgniara?! Mimo woli zakrywam twarz rękoma, starając się zasłonić przed ciosem z warząchwi. Pojawia się miła, uśmiechnięta pielęgniarka... i to bez wąsów!

- Dzień dobry panu! - i przepycha moje łóżko w inne miejsce... bliżej sali operacyjnej. Nie wiem czy to ten ruch, czy też stres ale czuję ponownie, że chce mi się sikać. Pytam więc - A macie tutaj toaletę? Bo mi się zachciało...

- Mamy ale przyniosę panu „kaczkę”.

- A nie mogę wstać i samemu dojść ?

- Nie, nie... przyniosę panu – i po chwili przychodzi z kaczką.

- A mógłbym choć na klęczkach, na tym łóżku? Bo wie pani... jeszcze nigdy na leżąco tego nie robiłem?

- Pewnie! Niech pan się nie stresuje. Nikt panu nie będzie przeszkadzał. - Podnoszę się wobec tego na kolana, jakoś tam wcelowuję i sikam. Nie jest łatwo, ale mam w myśli, te wszystkie opowieści o problemach z oddawaniem moczu po. Sikam, sikam... odwracam głowę w prawo i co widzę? Przechodzącą sobie inną, młodą pielęgniarkę! A ja na łóżku, tuż przed operacją, oddający mocz wprost do plastikowego dzbana, w koszuli a'la Maciej Boryna, na klęczkach. Zrobiło mi się głupio. Nie wiem czy jej? Chyba nie... wszak to ja sikałem...

Nie wiedząc gdzie odstawić „kaczkę” z zawartością, umieściłem ją w zlewozmywaku, bo to była jedyna rzecz, jaka była w zasięgu mojego ramienia. Ułożyłem się wygodnie w łóżku. Byłem znowu sam.

Leżąc w tym dziwnym i smutnym miejscu, podziwiałem wnętrze sali operacyjnej. Okropne, zielone płytki sięgały, aż po sam sufit, a widok na stół operacyjny, na którym to będą mnie za chwilę ciąć, budził grozę. Był wiekowy, czarny i metalowy, osadzony na jednej, solidnej, teleskopowo wysuwanej nodze. Okna zaczynały się na wysokości chyba dwóch metrów, dlatego widziałem tylko niebo, latające po nim mewy oraz dach mojej szkoły podstawowej, do której kiedyś uczęszczałem i z której na przerwach robiliśmy krótkie wypadki do szpitalnego śmietnika, gdzie ryjąc pośród odpadów medycznych, poszukiwaliśmy zużytych strzykawek – bardzo przydatnych dla naszych psikusów. Czyż mogłem podówczas wiedzieć, że trzydzieści lat później znajdę się w tym miejscu w roli operowanego? Chodząc do szkoły podstawowej mieliśmy z kolegami jedno marzenie... żeby jak najszybciej z niej wyjść. A wakacje były dla nas rajem. Po lekcjach, idąc do domu „na skróty”, przechodziliśmy obok szpitalnej kostnicy. Gdy drzwi były otwarte, nasze ciekawskie spojrzenia wylawiały czasami, wychudłe, trupio - blade stopy, wystające spod białych, płóciennych nakryć. Wielokrotnie robiliśmy zakłady, kto odważy się tam wejść... chętnych nie było. W kostnicy „szalał” też Rudy - „zimny chirurg”, którego później zamknięto, za jakieś nieprzyzwoite rzeczy, które wyrabiał z damskimi ciałami. Wspomnienia moje

zakończyły zbliżające się głosy i powoli przybyły owe „walkirie”, roześmiane i wyluzowane, no i najedzone, bo przecież dla nich to bułka z masłem. Było ich kilka, a wśród nich dwie, młode panie anestezjolog. Młodzian gdzieś wyparował... a może go zjadły?! Wepchnęły mnie do środka i kazały „smyknąć się” z łóżka, na którym mnie przywieziono, na stół operacyjny.

Kiedy leżałem sobie wygodnie, zagadałem do nich, ze zdziwieniem zauważając, że nagromadzone emocje oraz stres rozładowuję poprzez ciągły słowotok.

- Nie chce nic mówić, ale wystrój macie tutaj jak w rzeźni – powiedziałem patrząc na owe zielone płytki, położone zapewne przez gościa, który już dawno zszedł na tym samym stole.

- „Rzeźnia numer pięć!” rzuciła ta, która później asystowała przy operacji i po chwili wszystkie rechotały jak głupi z baterijki.

Mnie jakoś do śmiechu nie było. Czułem przeogromny chłód panujący wewnątrz, mewy zamieniły się w bombowce, anteny na mojej dawnej szkole w działka przeciwlotnicze, a dręcząca mnie myśl - „ile to już na tym wiekowym stole wykroili mięsiwa” - nie dawała spokoju. Zacząłem znowu gadać.

- A wie pani, przeglądałem moją kartę operacyjną, i wie pani co? Tam, oprócz rubryk „operacja udana” i „operacja nieudana”, jest rubryka „zgon”!, Nie uważa pani, że pacjent, pomimo wszystko nie powinien tego czytać i że powinni na wypadek zgonu, dodrukować jakiś aneks?

- A wie pan? Ma pan rację...

- No widzi pani! A pan doktor już przyjechał? Bo słyszałem, że go jeszcze nie ma...

- Dzwonił, godzinę temu, że już jedzie – powiedziała ta, która przyniosła mi kaczkę.

- Pewno gdzieś w korku stoi, a ja tu leżę i marznę... macie tutaj jakąś farelkę? Nie chciałbym wyjechać bez żylaka ale z zapaleniem płuc! A wiadomo skąd dzwonił? A może dopiero co z wód wraca, bo słyszałem, że świeżo po urlopie?

- Niech się pan uspokoi, za momencik będzie panu ciepło – powiedziała ładna, młoda blondynka, anestezjolog.

- Teraz niech pan sobie usiądzie tyłem do nas i lekko pochyli do przodu – kontynuowała.

- Aha... zaczęło się – powiedziałem niby wyluzowany ale przerażony jak mysz, co ją ostatnio uratowałem ze szponów mojego kota. Teraz już wiedziałem, dlaczego pacjent na operację idzie na czczo... żeby się nie zesrał ze strachu!!!

Usiadłem więc sobie na stole operacyjnym, a nogi zwisały mi luźno, jakbym siedział sobie z wędką na rybach, gdzieś na pomoście. Od przodu podeszła druga pani anestezjolog i objęła mnie mocno, po przyjacielsku.

- Ooo! Widzę, że ubezpiecza pani front, żebym na twarz czasem nie poleciał, jakby mi się słabo zrobiło.

- A co słabo panu?! - lekko zaniepokoiła się.

- Nie... wcale. Ale widzę przecież, że mnie pani tak tutaj ścisła...

No i zaczęło się.

- Proszę pochylić bardziej głowę do przodu, lekko opuścić ramiona i rozluźnić się... „Rozluźnić się” - pomyślałem, „Rzeźnia numer pięć” i rozluźnić się.

- Teraz poczuje pan zimno - poczułem zimno. - A teraz przetrzemy, panu, to miejsce wacikiem. - Teraz jeszcze raz poczuje pan zimno - jeszcze raz poczułem zimno. - A teraz jeszcze raz przetrzemy to miejsce wacikiem.

- To jest wacik, czy papier ścierny? Bo czuję, że mi całą skórę zdzieracie - usłyszałem cichy śmiech za sobą.

- To taka gaza, ona jest dość szorstka - odpowiedziała ta, co mnie asekurowała z przodu.

- Teraz zaznaczymy to miejsce, to nie będzie ukłucie, proszę się nie bać - usłyszałem głos z tyłu.

- Teraz proszę się nie ruszać. Damy znieczulenie. Poczuje pan ukłucie - poczułem ukłucie i drygnąłem, a nogi fiknęły mi lekko do góry. - Proszę się nie ruszać! – usłyszałem za sobą. Ta z przodu przeszła do tyłu i tym razem objęła mnie mocno po przyjacielsku, ale z drugiej strony. Nalepimy panu taką folię, żeby

bakterie się nie przedostały. Poczułem jak nalepiają mi tę folię i od tej chwili za moimi plecami zrobiło się jakoś tak dziwnie cicho i spokojnie.

- A co tam tak cicho i spokojnie? - spytałem zaniepokojony pielęgniarki - Pewnie dadzą mi zastrzyk w kręgosłup i nawet nie powiedzą kiedy, tak znienacka, żebym tymi nogami nie fiknął?

- Spokojnie proszę pana – odpowiedziała – one teraz muszą dokładnie wymierzyć miejsce wkłucia i są bardzo skoncentrowane, wszystko panu powiedzą. No i po chwili powiedziały.

- Teraz proszę się nie ruszać. Poczuj pan ciepło rozchodzące się po plecach i po nogach - i faktycznie miałem wrażenie, że ktoś wylał mi na plecy ciepły olej który rozplywa się z wolna w dół, aż po same palce u nóg.

- U la la – powiedziałem – faktycznie farelka mi nie potrzebna, teraz możecie włączyć klimę!

- Niech pan się położy. Położyłem się z wielkim trudem z pomocą pielęgniarek, bo nogi zwiększyły swoją masę do kilku ton.

Teraz zaczęło się sprawdzanie mojego czucia w kończynach. Nie czułem nic, ale najgorsze, że przestałem czuć „małego”. O kurde - pomyślałem - w sumie mógłby mi go odciąć, a ja bym się w ogóle nie zorientował! - i ta myśl przeraziła mnie bardziej niż wszystko inne. Przystawiają parawanik, żebym nic nie widział, ciachną i wrzucą do kubła z napisem „odpadki medyczne”. Poleżałem więc tak sobie z wielkimi oczami, a z podsłuchanych rozmów wywnioskowałem, że czekamy na chirurga. Spytałem więc.

- A gdzież to tytułowy bohater tego całego zamieszania, ten co to skierowanie mi wypisał znajdując odpiszczelowo – żylny zator, czyli pan chirurg? Gościu ma na mnie ze skalpelem wyskoczyć, a ja nawet go dobrze nie widziałem... i w razie co nie rozpoznam szczególnie, że pewnikiem, zamaskowany tu wkroczy.

Jedna napomknęła coś o przysłowiowych akademickich piętnastu minutach, i że jeszcze tak nie było, żeby pacjent już znieczulony na chirurga czekał.

- O jakieś „fał osiem” podjechało! Pewnie to pan doktor! - wykrzyknąłem uradowany, faktycznie słysząc za oknem „głębszy” dźwięk podjeżdżającego pod sam szpital samochodu. - Teraz wbiegnie na salę zdyszany, spocony, ręce będą mu się trzęsły i mi jeszcze przez pomyłkę coś tam więcej „ciachnie”!

- Pan doktor już jest – usłyszałem w odpowiedzi – i w tym momencie wszedł na salę „pan doktor”.

- Dzień dobry – ładnie się przywitałem, przełamując pierwsze lody. - A sprawdzi pan doktor, czy dobrze nogę ogoliłem?... to dla pana, panie doktorze! - do teraz sam nie wiem, dlaczego tak powiedziałem? Pewnie przypomniiał mi się ten kawał z gejem u lekarza.

- Co to za gadułę tutaj mamy? - strzelił do pielęgniarek.

- A gada nam tu tak cały czas – odpowiedziała pani anestezjolog. Najpierw coś o rzeźni gadał...

- „Rzeźnia numer pięć!”- wtrąciła ta, co wtedy też wtrąciła...

- ... później żeby mu farelkę przynieść, i że go papierem ściernym drapiemy, po plecach...

Nic, tylko tak jakoś spojrzał na nią i od razu, przez wenflon, dała mi zastrzyk. Zrobiło mi się jeszcze cieplej i przyjemniej.

- Ostatni raz czułem się tak świetnie chyba z piętnaście lat temu... w Amsterdamie – nie omieszkalem skomentować, przypominając sobie jak za studenckich czasów, będąc z miesięcznym tournee po Holandii, zrobiliśmy „wycieczkę” do „cofi szopu”. - Wtedy to, na własnej skórze, przekonałem się, że teoria względności Einsteina to nie „bezpłciowy” i trudny do zrozumienia wzór, ale że faktycznie czas biegnie nierównomiernie. Proszę sobie wyobrazić – kontynuowałem – że kiedy koledzy po godzinie zauważyli moją nieobecność przy stoliku, musieli wyciągać mnie z klopa, a ja tylko czytałem sobie wpisy na kafelkach... bo dla mnie minęło pięć minut i nawet nie zdążyłem jeszcze rozporka zapiąć po sikaniu!

- No widzi pan – odezwał się ogólnie małomówny chirurg – tam musiał pan za to wszystko płacić, a tutaj jest za darmo.

-O tak! Mieliśmy stawiać wszyscy po kolei, ale jak już postawiłem pierwszą kolejkę, to już do samego końca, wspaniałomyślnie, ja stawiałem!

Jedna z pielęgniarek przesunęła jakiś metalowy pręt, który znalazł się teraz na wprost moich ust.

- A to, żeby było na czym zęby zagryźć? To niech siostra choć bandażem owinie!

- To nie jest po to... - niech pan już lepiej nic nie mówi.

- Bo wie pani, ja chyba tak stres rozładowuję... - próbowałem się tłumaczyć. Poczułem, że coś zaczęło się dziać w okolicach mojego krocza. Czułem jakieś dotknięcia, poklepywania, ale bólu żadnego. - Tylko mi tam ostrożnie! - powiedziałem w stronę chirurga i chyba go tym oświadczeniem lekko uraziłem, bo powiedział, że „na sali operacyjnej obowiązuje cisza”. Rozpoczęła się operacja, a ja wciąż gadałem i gadałem nie mogąc przestać.

- A ma pani więcej tego środka, co przed chwilą w żyłę dostałem? - spytałem pani anestezjolog.

- Teraz to pan tlen dostanie – i włożyła mi w nos takie dwie cienkie, połączone rurczki, z których ulatniał się biały dymek.

- Ooo! - powiedziałem z uznaniem – Ale „wypasiona” faja wodna... A mam oddychać tylko przez nos, czy przez usta też?

- Niech pan oddycha jak pan chce.

Chirurg spojrzał po raz drugi, jakoś tak znacząco, na panią anestezjolog, po czym ona „zapakowała” mi jeszcze jedną strzykawkę tego środka. Zrobiło mi się błogo i przyjemnie. Nawet drżenia jakie targały moim, do połowy bezwładnym, ciałem, kiedy pan chirurg, zamaszystym ruchem, wyszarpywał mi żyłę z nogi, nie były w stanie zmącić tego przecudnego nastroju. Na powrót obserwowałem latające po niebie mewy i naprawdę teraz mnie to zadziwiło, choć przedtem nie.

- Ciekawe skąd tutaj mewy? - rzuciłem do wszystkich – Zobaczcie państwo, przecież jesteśmy ze trzysta kilometrów od morza... to skąd one tutaj? Latają i latają wkoło tego szpitala... te mewy. Kiedyś jak była rzeźnia, to latały zawsze przy spuście, jak odpadki z uboju wylewali do rzeki, ale tutaj... przy szpitalu? - I w tym momencie chirurg już nie wytrzymał i powiedział podniesionym głosem bezpośrednio do mnie.

- Na sali operacyjnej obowiązuje cisza! Rozumie pan?!! - po czym dorzucił do pielęgniarki i pani anestezjolog. - Koniec operacji, zszywamy, a następnego pacjenta poproszę na znieczuleniu ogólnym.

Nie przejąłem się tym wcale. Nawet go nie słuchałem, bo w tym właśnie momencie wjechało do przedsiionka drugie łóżko, z moi sąsiadem. Spojrzał z przerażeniem w moją stronę. Uśmiechnąłem się do niego i wyciągając rękę z wyprostowanym w górę kciukiem powiedziałem. - Było super! Bierz w kręgosłup! - Odwrócił głowę w drugą stronę i cichym głosem powiedział do pielęgniarki. - Poproszę ogólne...

Po operacji, czyli wracam do zdrowia! I do domu...

No! Jestem już u siebie... to znaczy w pokoju numer sto piętnaście. Jehowę już wypisali, ale za to przywieźli starszego pana po kolonoskopii, a właściwie po lewatywie i kolonoskopii. Ma smutne oczy. Nie wiem czy po narkozie, czy tak przeżywa to badanie. Dołączył też do nas nowy pacjent ze złamaną szczęką, a jak się okazało później, zuchwą... i to w trzech miejscach! Chodził tak przez półtora tygodnia. Twardziel.

Choć w sali jest gorąco, ja mam dreszcze. Pielęgniarki przykrywają mnie kołdrą, a na to kładą jeszcze koc. Leżę plackiem, mając w perspektywie dwanaście godzin, a już najchętniej zmieniałbym pozycję na jakąś półleżącą. Może być ciężko. Dają mi półlitrową kroplówkę z glukozą, pewnie ze względu na te dreszcze, a następne dwie nawadniające, też półlitrowe, już czekają obok, na moim stoliku. Sumuję wszystkie. Wychodzi półtora litra płynu, a przed zabiegiem dostałem litr. Tak dobrze nawodniony jeszcze nie byłem. Dwa i pół litra w jakieś sześć godzin! Czyli pięć dużych jasných. Czekam kiedy mi się zachce, bo na razie nic nie czuję. Delikatnie wkładam rękę pod moją operacyjną, kusą koszulinkę. Sprawdzam

czy „wszystko” jest na swoim miejscu. No, niby jest ale jakieś takie obce, jakbym złapał sąsiada.

Leżę. Minęło może z trzydzieści minut, a ja już ścierpłem. Jeszcze tylko jedenaście i pół godziny... o Boże! Nie wyrobię! Byle zasnąć, a o pierwszej w nocy będę mógł wstać i iść ostrożnie do ubikacji. Ten z połamaną zuchwą pyta się, czy może zapalić sobie na sali? Co?!! Ćmiki chce mi tutaj jarać?!! Aha... teraz zrozumiałem, bo gada bardzo niewyraźnie; mówi, że jak będzie noc, to będzie można sobie przy otwartym oknie zapalić, a na razie wychodzi do kibelka.

Wjeżdża łóżko z moim sąsiadem. Jest bardzo uradowany i gadatliwy. Wziął ogólne i mówi, że czuje się świetnie, tak jakby spał ze dwa dni. Może sobie wyżej podłożyć poduszkę pod plecy... ja leżę plackiem patrząc w sufit, ewentualnie na boki i wciąż mam dreszcze. Co ja bym dał, żeby móc zmienić pozycję! Ten ze złamaną zuchwą przyłazi z kibla. Wali od niego ćmikami na kilometr. Z niepokojem stwierdzam fakt, że coś dziwnego dzieje się w moim brzuchu. Jakies wzdęcie, czy co? Teraz wiem... mam pełny pęcherz, a sikać mi się nie chce... to znaczy pewnie chce, ale ja tego nie czuję! Bola mnie nery i krzyże od tego leżenia w bezruchu. Patrzę z niepokojem na kroplówki; ta półlitrowa z glukozą skończyła się, teraz dostaję zwykłą, też półlitrową, a następna (półlitrowa) już czeka. Kurde! Nie wyrobię! Jak to wpompują we mnie, to coś puści. Pielęgniarka mówi, „żeby mnie pocieszyć”, że mogę, z powodu braku czucia, zupełnie nieświadomie zlać się do wyra, a sąsiad, co to miał dłużej dochodzić do siebie po ogólnym, dał się wyciągnąć na ćmika, przez tego z zuchwą i poszli do kibelka. U mnie zaczyna się kryzys. Z bólu pleców, pęcherza i ogólnego odrętwienia zaczynam się cały trząść. Mam zimne stopy i ręce, a na czoło występują mi krople potu. Przychodzi pielęgniarka i mówi coś o cewnikowaniu. „Po podpajęczynówkowym szybciej pacjent dochodzi do siebie” - przypominają mi się zapewnienia pana anestezjologa... żeby go pokręciło! Ten mi tu już na fajkę wychodzi, po ogólnym, a mnie za chwilę rozerwie. Nie no! Nie wytrzymam! Nie dam rady! Mogli mi ten cewnik założyć tam na sali, miałbym teraz spokój. Próbuję zmienić pozycję. Czuję się napompowany jak balon.

Przychodzą z ćmika. Ten z zuchwą prowadzi sąsiada pod rękę. Wziął dwa machy i zjechał po ścianie na dół. Kładzie się na łóżko i mówi do mnie. - Nie, nie... jeszcze za wcześnie na papieroska, ale miałem odlot... uuu... trzeba poczekać...

- A odlałeś się? - pytam się zazdrośnie.

- Jeszcze nie, nie czuję potrzeby.

- A ja czuję... to znaczy kiepsko czuję, ale czuję, że pęcherz to mam pełny, jak po pięciu browarach bez sikania. Już dłużej nie wyrobię! Nie dam rady... zobacz jak mnie telepie...

- Zawołaj pigułę, niech ci kaczkę przyniesie, może się uda?

Przychodzi pielęgniarka i wręcza mi kaczkę. - Niech pan się zmusi, bo będziemy cewnikować! - dodaje na odchodne. Próbuję; śpię, gwizdę i udaję dźwięk szumu wody. Nic z tego. Równie dobrze mógłbym siłą woli zmusić do sikania wąż ogrodowy. Jeszcze za wcześnie, musi puścić znieczulenie, bo od pasa w dół jestem sobie zupełnie obcy. Ale za to podłączyli mi trzecią kroplówkę! Ta mnie pewnie dobije. Nawodnią mnie jak polder zalewowy i nie będę musiał pić przez tydzień ale puści pęcherz. Leżąc na wznak patrzę w górę, na spadające do wężyka krople, zostało jeszcze dobre pół, a każdą odczuwam jakby ktoś skakał mi po brzuchu. O Jezu! Jak ja dostanę w ręce tego anestezjologa!

Wchodzi „ona”. Patrzy na mnie tymi swoimi niebieskimi oczami. Nie w głowie mi amory. Uciekam wzrokiem gdzieś w dal.

- Dam panu coś – mówi do mnie chyba z litości. Pewnie wyglądam nie tęgo; krople zimnego potu na twarzy, delirka jak u nałogowego i grymas spowodowany ciśnieniem pęcherza na rdzeń kręgowy. Wchodzi po chwili ze strzykawką, którą aplikuje do kroplówki. - To jest Ketonal i coś rozkurczowego – mówi, a patrząc na moje trzęsące się ręce dodaje – dać panu coś jeszcze na uspokojenie? Odpowiadam, że „dziękuję”, a w myślach jej odpowiadam, „żeby zawołała tego młodego, miłego anestezjologa i podała młotek... to mnie uspokoi”.

Leżę w łóżku z kaczką do sikania jak ze „ślubną” już od dwóch godzin. Bez efektów. Ból w okolicach

nerek i krzyża lekko ustąpił, a ja afirmuję się i wizualizuję; jestem nad brzegiem morza i mam rozłożony koc obok dystrybutora do piwa, a piwo jest gratis! Wypiłem z pięć dużych, jasnych i teraz normalnie idę się odlać do wody. Wchodzę. Morze jest zimne, że aż mi z tego zimna strzyka w kolanach. Nagle z wody wyłania się... pisuar. Wielki i piękny pisuar, który mówi poruszając się jak potężne, białe usta; „Wyszczaj się do mnie brachu! Odcedź kartofelki i ulżyj sobie! Dawaj! Śmiało! No, zrób miejsce w pęcherzu na następnych pięć dużych, jasnych”. Koncentracja i... jakby coś drgnęło. Mam zamknięte oczy, a ustami naśladuję szum fal, na przemian z cichym pogwizdywaniem. Sąsiad chyba wie co się święci, bo odkręcił kran, żeby mi pomóc. Nawet ten ze złamaną zuchwą zamilkł na chwilę, choć jak gada to i tak go nie rozumiemy, zresztą gada w kółko, że albo „idzie na ćmika”, albo, że „przyszedł z ćmika”, albo, że „wieczorem będzie można zająrać przy oknie”... Ja wciąż jestem nad morzem, czyli szum fal i mówiący pisuar. Aha... jest jakieś ciepłko, coś się ruszyło! Nieśmiało i z nadzieją unoszę kołdrę i spoglądam... o kurwa! Zlałem się do wyra! Wysunął mi się z „kaczki”, a ja w ogóle tego nie poczułem. Ja pierdołę! Ale siara! Jebane znieczulenie i jebany anestezjolog! Żeby go pokręciło! Co teraz?!! Wołać pielęgniarkę? A jak przyjdzie „ona”, to co powiem? - „Szanowna pani zmieni mi pościel? Bo się zesikałem!”. Ale wstyd! Co robić?!! Zagaduję do sąsiada. - Ej... chyba się zsikałem... - odwraca zaspany głowę w moją stronę i mówi. - To dobrze... teraz możesz sobie kimnąć.

- Niezupełnie, bo nie wcelowałem... nic nie czuję i myślałem, że go mam w środku, w kaczce, ale musiał mi się wysmyknąć i „wałnąłem” do łóżka...`co robić? - pytam z nadzieją, że on coś wykombinuje.

- Dzwon po pigułę - mówi.

- No, toś wymyślił. Że też wcześniej na to nie wpadłem. Cholera. Przecież wystarczy nadusić dzwonek i po sprawie! Wiedziałem, że na ciebie mogę liczyć – odpowiadam ironicznie, po czym już na serio dodaję.

- Oszalałeś?!! Dzwonek chcesz dusić?!! A jak przyjdzie ta ładna... to co? Wstyd na kilometr. Podaj lepiej zwój tych zielonych, papierowych ręczników, jakoś sobie poradzę. - I właśnie w tym momencie drzwi otwierają się i na salę wchodzi „ta bardzo, bardzo ładna”, czyli „ona”.

- Ktoś dzwonił? - ten z zuchwą memła do niej niewyraźnie, „że trzeba pościel zmienić”, pokazując na mnie! O ten Judasz jeden! Wydał mnie! Sobie wieczorem ćmiki przy otwartym oknie pojarasz! Już ja cię urządzę! – myślę sobie w duchu.

- Wszystko w porządku siostró, temu facetowi od tych fajek na mózg padło i nie wie co gada... – wyjaśniam. Ale nie z nią te numery. Pewnie nie ja pierwszy, po podpajęczynówkowym, zlałem się do wyra.

- Spokojnie proszę pana, zmienimy pościel, nie ma problemu, to się zdarza...

Zawołała koleżankę. Zmieniły mi pościel, rozebrały do naga i dały nowy kaftanik - równie kusy i sprany, z dekoltem aż do pępka. Teraz leżę zawstydzony, wysikany i nic mnie nie boli. Byle do rana.

Miałem kilka odpływów. Między drzemkami zagadałem z sąsiadem i obejrzałem fragment jakiś wiadomości w telewizji. Jest po dwudziestej drugiej i ten z zuchwą zaczyna czaić się, żeby zapalić sobie przy oknie - „pal, pal stary, cie kurwa urządzę” - teraz udaję, że zasypiam.

Wstał z łóżka, szuka fajek w szafce. Myśli, że wszyscy śpią. Obserwuję go dyskretnie. Podchodzi do okna, delikatnie uchyla i siada na parapecie. On zapala fajkę, a ja delikatnie przyciskam czerwony guziczek, który sobie już wcześniej przygotowałem pod kołderką. Po chwili drzwi uchylają się. Wchodzi jakaś starsza pielęgniarka. Czując dym, zaniepokojona zapala światło. Robi się raban. Budzi się sąsiad, a ja udaję, że się budzę...

- Oszalał pan?! Pali pan papierosy na sali?!

- Pali się?! Gdzie się pali?! - szybko wtrącam udając zaniepokojenie. Sąsiad jest jeszcze mocno zaspany i wyłapał tylko, że „się pali” łącząc to ze smrodem tanich „bolków”. Nagle podrywa się przerażony krzycząc „ewakuacja!!!”. Niezgrabnie, z zabandażowaną nogą, usiłuje szybko wstać i uciec na korytarz. Zahacza o metalowy kubek z napisem „odpady medyczne”, który z hukiem wywraca się na podłogę, powodując wielki rozgardiasz. Wbiegają kolejne pielęgniarki oraz lekarz dyżurny.

- Co się tutaj dzieje?! - pyta się. Dolewam jeszcze oliwy do ognia i mówię podniesionym głosem. - Gore! Gore! Ewakuować najcięższych rannych! Mamy piromana na sali!

Lekarz w mig chwyta za stojącą przy drzwiach gaśnicę, próbując zlokalizować źródło dymu. Ten z zuchwą z wrażenia rozdziawił gębę i papieros wleciał mu za koszulę pasiastej pidżamy. Ma wielkie, wystraszone oczy i podskakuje, próbując wytrzepać niedopałek, który w końcu wylatuje przez nogawkę.

- Proszę natychmiast to zgasić! Ale w tej chwili!!! - lekarz podchodzi do niego i konfiskuje całą, dopiero co otwartą paczkę. Gościu nawet specjalnie nie protestuje tylko marudzi coś pod nosem. No! Masz za swoje Judaszu jeden!

Idę do domu!

Budzę się rano około szóstej. Jestem niewyspany, bo w nocy dręczyły mnie koszmary. Miałem pokój, w który leżałem sam. Około północy przysła "ona", zalotnie uśmiechając się. Znacie zapewne ten rodzaj niewieściego uśmiechu, który to mówi; „Mam na ciebie chrapkę mężczyzno. Bój się, bo po wyczyniam z tobą takie rzeczy, że do końca życia nie zapomnisz”. Tak więc weszła, a ja już wiedziałem co będzie dalej. Chwyciła mnie za nadgarstek i powiedziała, że zmierzy puls, a dłonie miała rozpalone. Cały czas świdrowała mnie tymi swoimi niebieskimi oczami.

- Dam panu lekarstwo – oznajmiła, wstrzykując je przez wenflon. Dziwne ciepłko zagościło w okolicach mojego krocza, kołdra poruszyła się, a następnie uniosła lekko w górę. Ze zdumieniem zauważyłem, że mam potężną erekcję, a fallus zaczął podrygiwać w rytmie serca. Nie mogłem doczekać się gdy ona wejdzie na mnie i zobaczę jej przepiękne ciało; kształtne piersi, biodra i ramiona. Już prawie kąsałem ją lekko w sutki, obiema rękami obejmowałem krągłe pośladki pieszcząc językiem szyję. Szybkim ruchem zerwała kołdrę na ziemię i gdy miała na mnie wejść, odstąpiwszy na bok, krzyknęła w stronę drzwi - Stacha! Włącz! - i wyszła.

W drzwiach stanęła Wielka Wąsata Pielęgniara dzierżąc w dłoni warząchew. Parowało z niej, jak z dopiero ci wyrzuconego na pole obornika. Podbiegła do mnie w podskokach, a ostatnim, najwyższym, dosiadła. Chwilę pomajstrowała ręką, coś chlupnęło i „wsmyknąłem” się w nią jakbym wskoczył do bagna. Poczułem mdłą woń gotowanych podrobów. Spod białego kitla wystawały białe, grube, nabite giry o kruczoczarnych włosach. Starłem się jakoś wyswobodzić, ale zauważywszy moje starania, podniosła do góry drewnianą łychę i grożąc mi, powiedziała.

- Spokojnie malutki, bo przysolę! - po czym dodała już spokojniej, jakby zalotnie. - To długo nie potrwa... Zaczęła mnie powolutku ujeżdżać, jednocześnie rozpinając guziczek, po guziczku. Kiedy odpięła ostatni, odrzuciła fartuch do tyłu ukazując, się w całej krasie. Odruchowo zamknąłem oczy. Warknęła na mnie. - Patrz się malutki, bo przysolę! - Otwarłem oczy. Była naga i parchata jak stara pyra. Piersi kończyły się na brzuchu, a zwis tego, luźno dyndał sobie nad moim, poklapując rusz co rusz. Fałdy tłustej skóry przypominały nosorożca pancernego, a wielkie dupsko wystawało, aż za obrys łóżka. Wszystko to razem falowało, sapało i charczało jak jakieś nieboskie stworzenie. Nawet czarna dziura pępka, głęboka i ciemna niby studnia, żyjąc własnym życiem, wydawała cichutkie pomlaskiwania i cmoknięcia. Zacząłem wpatrywać się w ten mlaskający pępek i zupełnie bezwiednie wetknąłem do środka palec. Coś mocno schwyliło mnie za niego, szarpnęło do przodu i pociągnęło w głąb, wessawszy do środka. Znalazłem się w brzuchu Wielkiej Pielęgniary, pływając w oceanie treści pomiędzy, unoszącymi się na powierzchni pogryzionymi kawałkami podrobów. Jakieś nitki zaczęły owijać mi się wokół nóg, krępując moje ruchy. Wyglądały jak długie, metrowe dżdżownice. Wystawiły łebki koło mojej głowy, mówiąc cichutko.

- Tatusiu, tatusiu to my – twoje żyły. Weź nas ze sobą. Zabierz z tego okropnego miejsca. Byliśmy

zdrowe i drożne. Teraz nie masz już ani jednej żyły w lewej nodze! Ani jednej! Wszystkie powyrywane i zjedzone - i wtedy obudziłem się...

Powolutku przemieszczam się w kierunku ubikacji. Daję radę, ale siku wolę jednak zrobić na siedząco. Ten z żuchwą wysepił od sąsiada papierosa i teraz wyciągnął go do kibelka. Stoją przy otwartym oknie i palą na czczo. Sąsiadowi robi się znowu niedobrze i musi usiąść. Siada w kabinie obok mnie i powolutku dochodzi do siebie. Czyli jednak podpajęczynówkowe górą!

Wracam do sali. Wchodzi pielęgniarka i mówi, że możemy założyć swoje domowe pidżamki. Mogę umyć się przy zlewozmywaku, a przede wszystkim wyszczotkować zęby, bo nie myłem ich od wczoraj rana! Ale ulga, bo miałem wrażenie, że zjadłem wszystkie kipy tego z żuchwą. Po śniadaniu robimy sobie kawkę i częstuję nawet jego, a co mi tam, niedługo wypis do domu. Idziemy wszyscy na ćmika. Sąsiad przezornie pali na siedząco w kabinie. Biorę od niego kilka maszków, z kawką smakują wybornie.

Kuśtykając udajemy się po wypisy. Po drodze spotykam się wzrokiem z panią anestezjolog, odwraca głowę parskając śmiechem, czyżbym nagadał jakiś głupot na sali operacyjnej? Z wypisami wracamy do sali i ubieramy się w „cywilki”. Tego ze złamaną z żuchwą wypuszczają ze skierowaniem do poradni specjalistycznej. Będą musieli mu na nowo wszystko połamać, ponastawiać i podrutować, bo zaczęło się już zrastać. Wchodzi „ona”. Też powoli kończy dyżur. Mówi, że takich „migłanców” jak my dawno nie miała. Bajeruję ją, że dla tych niebieskich oczu, mógłbym jeszcze i z tydzień tutaj poleżeć, a myślałabym sobie, że w separacie i tylko na obserwację. Pakujemy się i wychodzimy, po drodze żegnając się z pielęgniarkami i lekarzami, jeszcze tylko przyjacielski uścisk dłoni i żegnaj szpitalu pa pa... oby na zawsze!

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

bassooner, dodano 10.09.2010 09:21

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.